

Karolina Pojawska (1916-1986)

Stanisław Żak (Kielce)

Karolina Pojawska urodziła się w Warszawie, gdzie chodziła do szkoły powszechnej, zdawała maturę, studiowała polonistykę, zdradzając szczególne zainteresowania dydaktyką języka polskiego. Te zainteresowania potwierdziła po wielu latach niewielką książką: *Ćwiczenia w mówieniu i pisaniu*¹. Mieszkała i pracowała w Warszawie, w czasie wojny angażowała się w tajne nauczanie. Po powstaniu warszawskim przyjechała do Kielc z siostrą Teodozją, nauczycielką historii, która nawet zajmowała krzesło zastępcy dyrektora w jednej ze szkół kieleckich. Natomiast p. Karolina pracowała w Gimnazjum im. bł. Kingi w Kielcach, którego dyrektorem była p. Maria Opielińska². Po likwidacji tej szkoły p. Karolina podjęła pracę w kieleckim liceum pedagogicznym. Gdy, dzięki staraniom znakomitego polonisty dra Stanisława Jerschiny³, powstało Studium Nauczycielskie (1954), p. Karolina rozpoczęła pracę z aktywnymi nauczycielami i kandydatami do tej profesji. Pod koniec lat pięćdziesiątych odeszła ze Studium do Żeromskiego.

Panią Karolinę osobiście poznałem dopiero na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, gdy odbywałem praktykę pedagogiczną w LO im. Stefana Żeromskiego. Skierował mnie na tę praktykę prof. Władysław Szyszkowski, który przed wojną był wizytatorem w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego i znał Karolinę Pojawską z tamtego czasu. Wysyłając mnie do Kielc, profesor powiedział, że wysyła mnie w dobre ręce, bo ta pani jest znakomitym nauczycielem, dużo może się pan od niej nauczyć. Przyjechałem z Krakowa i zgłosiłem się do szkoły, w której przecież zaczynałem moją średnią edukację, kiedy dyrektorem był Jan Strasz, a wychowawcą klasy Stanisław Domański, w tajniki geografii wprowadzał Stanisław Zawiejski, tajemnice religii objaśniał ks. prefekt Bolesław Galon, historii uczył niezwykle Stefan Kusal, a poliglota w szkole był Rajmund Ertel. Teraz dyrektorem był Antoni Bieżanek. Wprowadzony do pokoju nauczycielskiego, zobaczyłem za stołem moich profesorów: Ertla i Domańskiego. Siedziała też elegancka pani, do której zwrócił się dyrektor: „Pani Karolino, przyprowadziłem studenta polonistyki krakowskiej do pani na praktykę pedagogiczną”.

1 *Ćwiczenia w mówieniu i pisaniu w klasach V–VII*, Kielce 1958, później jeszcze kilka wydań, od 1965 r. jako: *Ćwiczenia w mówieniu i pisaniu w klasach V–VIII*.

2 W książce Izabeli Bożyk *Maria Opielińska*, Kielce 2017, zamieszczono zdjęcie komisji egzaminacyjnej podczas matury w Liceum im. bł. Kingi w Kielcach, 1948 r. – w tej komisji była także K. Pojawska, s. 111.

3 Stanisław Jerschina (1905–1959).

Pani wstała, podeszła do mnie, podała rękę na powitanie. Byłem oszołomiony, przede wszystkim zmianą sytuacji – byłem uczniem, a teraz zasiadam wśród moich profesorów. Zostałem przyjęty bardzo życzliwie, spokojnie.

Od tej pory p. Karolina sprawowała nade mną pedagogiczną pieczę, chodziłem na jej lekcje, przyglądałem się, słuchałem i już na pierwszej lekcji zaskoczenie, gdy zobaczyłem, że „ten znakomity nauczyciel” z ogromnym doświadczeniem dydaktycznym i pedagogicznym prowadzi lekcję z konspektem zapisanym w zeszytce. Nie patrzyła wprawdzie do tego zeszytu, ale lekcja była znakomicie zbudowana, logicznie przejrzysta, konsekwentnie prowadząca do ostatecznego wniosku. Siedziałem w ostatniej ławce i z uwagą słuchałem stawianych uczniom (uczennicom, bo w klasie były same dziewczęta) pytań, na które padały rzeczowe odpowiedzi. Nie było najmniejszego nawet podenerwowania ani po jednej, ani po drugiej stronie.

Po skończeniu studiów w Krakowie wróciłem do rodzinnego miasta i rozpocząłem pracę nauczyciela języka polskiego w Technikum Ekonomicznym w Kielcach. Pani Karolina odnalazła mnie i zaproponowała spotkanie w redakcji czasopisma metodycznego „Język Polski”, wychodzącego wówczas pod Jej redakcją, założonego w Sandomierzu przez dyrektora Studium Nauczycielskiego dra Stanisława Jerschinę (1955).

W czasie spotkania zaproponowała mi współpracę z pismem i od razu zadała do opracowania Horacego. To był mój pierwszy tekst, który oceniła przychylnie i opublikowała.

W redakcji, jak na pierwszej lekcji, obserwowałem styl Jej pracy jako redaktora. Każdy kolejny zeszyt „Języka Polskiego” miała rozplanowany, rozpisany tematycznie i wyznaczała także autorów z różnych środowisk. Pisali dla niej teksty nauczyciele szkół podstawowych, średnich i akademickich; jeździła do Gdańska, Poznania, Krakowa, Wrocławia, Łodzi, rozmawiała z autorami, wyjaśniała, czego oczekuje. Skrupulatnie czytała wszystkie teksty, często prosiła mnie o recenzję. Nigdy nie wprowadzała zmian bez uprzedniego porozumienia z autorem.

Z perspektywy lat (pierwsze spotkanie w 1961 r.) dochodzę do wniosku, że p. Karolina była przyjaciółką młodzieży, uczennice nazywały Ją matką, idealną wręcz nauczycielką, jakby w Niej zaległy słowa hymnu: *Musimy siać, choć pola nasze marne / Musimy siać, choć pługów brak i bron...* Ona nie wyceniała własnej pracy, nie dopominała się o pochwały, odznaczenia i profity. Nauczyłem się od Niej przede wszystkim metodyki i techniki pracy nauczycielskiej oraz pokory i sposobu bycia, stosunku do nauczanych, do młodzieży.

Pani Karolina była osobą religijną, wierzącą i praktykującą, idąc do pracy wstępowała do katedry albo kościółka Świętej Trójcy, gdzie czasem Ją spotykałem rozmodloną, przystępującą do komunii. Z tego też powodu spotykały Ją różne i rozliczne przykrości, aż wreszcie pozbyto się Jej, odsyłając na emeryturę, jako demoralizatorkę i gorszytelkę młodzieży.

Pamiętam obchody dwudziestolecia pisma „Język Polski” (1955–1975), które obchodzono w Cedzynie pod Kielcami. Zjechali autorzy i współpracownicy pisma. Oczywiście zasiedli także działacze partyjni różnych szczebli. W dyskusji dał głos anonimowy nauczyciel, który za jakieś „wybitne osiągnięcia dydaktyczne”

został wciągnięty do KC. Wystąpił agresywnie w ataku na pracowników naukowych instytutów, że nie chcą pisać dobrych podręczników. Ktoś z sali ripostował, że dobre podręczniki powstają, tylko cenzura nie dopuszcza do druku i obiegu edukacyjnego. Rozgorzała ostra polemika. Karolina Pojawska miała wtedy jedno wielkie zmartwienie i troskę: żeby tylko nie skrzywdzono tego, który się nie zgodził z wyrocznią partyjną.

Pani Karolina Pojawska zmarła w szpitalu po ciężkim wylewie, nie odzyskawszy przytomności. Myślę, że główną przyczyną Jej zgonu były ideologiczne naciski, które miały Ją zmusić do reorientacji ideologicznej. Ona po prostu popadła w taki stres, z którego nikt i nic nie mogło Jej wyzwolić. Pogrzeb zgromadził kilka pokoleń Jej wychowanków, współpracowników, przyjaciół z całej Polski, mimo mroźnej i śnieżnej pogody. Na cmentarzu Starym w Kielcach jest podwójny grób: Karoliny i Teodozji Pojawskich, a na nim napis: „Panie, do kogo pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego!”.

Ewa Sadowska (Kielce)

Pani Karolina Pojawska - nasza wychowawczyni

Rok szkolny 1959/60... Szkoła Podstawowa nr 2 im. Marii Konopnickiej. Na lekcje języka polskiego prowadzone przez panią Zofię Zwolską przychodzą studenci. Ich opiekunką jest elegancka Pani, która często zajmuje miejsce w ostatniej ławce za naszymi plecami i życzliwie poszturchując, namawia do aktywnego udziału w lekcjach prowadzonych przez Jej podopiecznych. Dobrze wie, jakie emocje towarzyszą młodym adeptom szkół pedagogicznych, którzy muszą stanąć przed prawie czterdziestką zawsze nieco rozbrykanych nastolatków. Opiekunką tych studentów była Pani Karolina Pojawska, co odkryłyśmy we wrześniu 1960 r., gdy w pierwszej klasie I Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego w Kielcach właśnie Ona została naszą Wychowawczynią.

I LO wtedy mieściło się jeszcze w prawdziwym, starym budynku, do którego chodzili nie tylko Żeromski, Dygasiński czy Prus, ale i MY. Szkoła była przy skwerku, na który wychodziły okna właśnie naszej klasy. Budynek koło katedry, vis a vis dworku Laszczyków, który był wtedy jeszcze prywatnym domem, w bezpośrednim sąsiedztwie Kościołka, seminarium oraz parku. Serce miasta.

Klimat zabytkowej architektury szkolnych wnętrz, dawni – dla nas starswieccy, by nie napisać zabytkowi – profesorowie: Pani Miturowa (uczyła biologii), łacinnik Profesor Miętus, Profesor Urbanek – geograf, Pan Wroński, Pan Górnicki. Wyrośnięte dryblasy – ostatnia czysto męska klasa w do niedawna męskiej szkole; w dziewiątej i dziesiątej jeszcze nieliczne dziewczyny i... jedyna do dziś w historii szkoły klasa żeńska, której wychowawstwo powierzono nowej polonistce – Pani Karolinie Pojawskiej.

W roku 1960 miała 44 lata. Średniego wzrostu, z bardzo starannie upiętym kokiem, ubrana „służbowo”: spódnica, jasna bluzeczka, sweterek, wdzianko, czasem równie elegancka, chociaż zawsze „ascetyczna” w oficjalnej edycji – sukienka. Tak jak i włosy – niezwykle zadbane dłonie, ozdobione dyskretnym złotym pierścieniem z turkusowym oczkiem. Do Jej słownego portretu pasują właśnie te słowa: elegancka, przystojna, stateczna, pogodna. Regularne rysy, sporo uśmiechu i życzliwość w zainteresowanym światem i rozmówcą spojrzeniu. Taka weszła w orbitę naszej klasy i była naszą Wychowawczynią: Karollą, Karolcią, Karoliną, polonistką, a przede wszystkim Naturalnym Autorytetem. Człowiekiem, który mimo naszych nastoletnich buntów, chichotów, wyskoków – niezwykle rzadko choćby minimalnie przemyślanych, w czasach rozkwitającego big-beatu i rock and roll’a, zdobył sobie SZACUNEK i POWAŻANIE. Była żywym przykładem nieprzemijalności tych wartości, które zawsze są w cenie: wierność, rzetelność, życzliwość i bezinteresowność. Zawsze, w każdej sytuacji i wobec każdego.

Lekcje polskiego nie budziły lęku, nie wymagały korepetycji. Były prowadzone w sposób kompetentny, uczyły myślenia, logicznego kojarzenia faktów, spostrzegania podobieństw i różnic w różnych utworach literackich. Pokazywały piękno literatury i ubogacały radością z obcowania z nią (choć w tamtej epoce takie spostrzeżenie nie mieściło się w naszych nastoletnich głowach). Godziny z Karoliną niepostrzeżenie faszerowały nasze głowy WIEDZĄ. Jak wiele można było jej nabyć w ciągu 45 minut „umysłowej obecności” w ławce, świadczy fakt, że uczniowie (w Jej klasie uczennice) bez korepetycji, okazując szkolną legitymację przy wejściu na egzaminy pisemne na polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim byli pytani: – „A kto was uczy? Pani Pojawska? – Aaa! Witamy w naszych progach!”.

Jak stwierdziła jedna z uczestniczek ostatniego spotkania NASZEJ KLASY, lekcje polskiego nie były „porywające”. Być może. Ale te właśnie lekcje nawet największym antyfilologom pozwalały odkryć piękno literatury i języka, nie obrzydziły kontaktu z książkami i – co dziś wydaje się niemożliwe – nauczyły poprawnego wysławiania się w mowie i piśmie. Jest prawdą, że w tamtej epoce było to wspólną troską wszystkich pedagogów w naszej szkole.

Chciałabym zwrócić tu uwagę na jeszcze jeden szczegół. Nasze czasy szkolne to czarna tablica, i tak jak różne jej powierzchnie, tak samo różnej jakości kreda do pisania po niej. Pani Karolina najczęściej sama zapisywała na tablicy temat danej lekcji. Myślę, że i dziś każda z nas bezbłędnie by wybrała Jej piękny rękopis z charakterystyczną litera „K” z nawet największego stosu podobnych... Jej charakter pisma, znany z uwag pod wypracowaniami, klasówkami, utrwalony w poprawkach na marginesach naszych zeszytów systematycznie przez Nią sprawdzanych, też był Jej wizytówką i jeszcze jedną drogą pokazania szalonym nastolatkom, jak ważne mogą być drobiazgi i ile mówią o człowieku. Bezsłownie uczyła nas codziennej estetyki, staranności ubioru, troski o piękno i elegancję wszystkiego, do czego przykładamy rękę. I dobrze to w nas wdrukowała, bo nawet jeśli nie całkiem sobie to uświadamiamy, to i przez to ONA JEST W NAS.

Klasa ósma (czyli pierwsza w nowej szkole) w Żeromskim. Nowe środowisko, nowi znajomi. Młodzież nie tylko z Kielc. Pani Karolina bardzo szybko i bezbłędnie wyławia te dziewczyny, którym trzeba pomóc. Dziś przypuszczam, że nam, uczennicom, przekazywała tylko to, co było absolutnie niezbędne, byśmy wyrobiły w sobie odruch troski o tę czy inną koleżankę. Więcej mogłyby powiedzieć nasze mamy, z których stworzyła niezwykle skuteczny, nieoficjalny komitet rodzicielski. Pomagał w znalezieniu stancji, zapłaceniu za obiady dla tej, której nie było na to stać... Nam Wychowawczyni uświadamiała odpowiedzialność za to, że jak ktoś dostaje dwóje i z czymś sobie nie radzi, to jest to też nasza sprawa... Mamy sobie pomagać. Ale równocześnie naganiała do nauki leniwców (np. mnie do nauki łaciny!), dbała o możliwość pokazania nam SZTUKI.

Wydarzeniem był wyjazd do Nowej Huty na przedstawienie „Dziadów” w Teatrze Ludowym. Przed wyjazdem na lekcjach polskiego wszystkie klasy, które jeszcze nie omawiały tego utworu, zostały z nim zapoznane. Jechaliśmy, wiedząc, co będziemy oglądać. A nowohucki teatr był wtedy ważną placówką kulturalną. Cała widownia pełna młodzieży. Pierwsze sceny – w moim osobistym odbiorze – takie sobie, ale... z każdą minutą coś się zmieniało, i w grze aktorów, i w naszym odbiorze. Ponieważ jedna z naszych profesorek była spokrewniona z panią Skuszą, która razem z Jerzym Krasowskim reżyserowała to przedstawienie (z genialną scenografią Jerzego Szajny!), mogłyśmy poznać kulisy aktorskich komentarzy do tego nieprawdopodobnego wydarzenia teatralnego. Aktorzy nie znoszą uczniowskiej widowni, która jest spędzana z powodów programowych na WIELKIE DZIEŁA LITERACKIE do teatru. Teatr najczęściej przestaje być wtedy OGROMNY, a jego przestrzenie z trudem wytrzymują wygłupy nastoletniej widowni. Wtedy, w Nowej Hucie, stało się coś innego. Po pierwszych scenach aktorzy stwierdzili, że młodzież wie i odbiera to, co dzieje się na scenie. Nikt nie rozmawiał, nie skrzypiały fotele, nie szeleściły papierki cukierków. Cisza w czasie Wielkiej Improwizacji była nieprawdopodobna, jeszcze bardziej długą chwilę dzwoniła w uszach przy zamarłej w bezruchu widowni po upadku Konrada z wielkich schodów, na jakie w tej scenografii wносиła go pycha jego walki z Bogiem. Burza oklasków potem była jak armatni wystrzał...

Ta bytność w teatrze stała wydarzeniem dla uczniów i dla aktorów, którzy grali na full, czując wyjątkowy odbiór widowni. Ale ten klimat zaistniał dzięki pracy i wyobraźni Nauczyciela. Pani Pojawska była szczęśliwa, że poczuliśmy piękno romantycznego dramatu. A my piękno tego przeżycia zawdzięczamy Jej pracy, Jej trosce o wszechstronność kształcenia...

Chciałabym opisać jeszcze jeden epizod z życia naszej klasy: imieniny naszej Wychowawczyni. W każdej klasie i szkole jest to normalna klasowa uroczystość. To nie były jeszcze czasy prezentów-łapówek, z jakimi spotkałam się w szkole prawie 20 lat później. W tamtej epoce były to kwiaty i jakiś upominek. Świadomie nie używam słowa prezent, bo to jeszcze nie ta epoka. Nie pamiętam, co Pani Pojawska dostała od nas przedtem i potem. To była chyba dziesiąta klasa i przed imieninami nasza Wychowawczyni oświadczyła, że nie życzy sobie na imieniny niczego. Żadnych obchodów, prezentów, w każdym razie niczego, co może kosztować nawet złotówkę!

Jakie były kulisy tego niezwykle stanowczo wypowiedzianego ogłoszenia – nie wiem. Przypuszczam, że ktoś musiał się przy Niej wypowiedzieć na temat imiennych „załączników”, albo wprost pod Jej adresem skierowano jakieś insynuacje. Czuła na wszystkie detale, bezinteresowna i uczciwa do szpiku kości, tym razem nas zmusiła do ogromnej gimnastyki umysłowej. Jak można nie obchodzić Imienin Karolli? Ale znałyśmy Ją na tyle, żeby wiedzieć, że kategoryczna tonacja wypowiedzi wyklucza jakiegokolwiek podchody. NIC to NIC. Jeśli wydamy na jakikolwiek prezent chociaż złotówkę, to z tą złotówką i własnymi głupimi minami zostaniemy. To jedno nie ulegało żadnej wątpliwości. Imieniny obchodzić nie tylko wypadało, bardzo chciałyśmy zrobić Jej przyjemność, ale również należało zastosować się do Jej życzenia. Było o czym myśleć. Zmiana Jej decyzji nie wchodziła w grę.

W dniu imienin delegacja klasy z przewodniczącą i ogromnym wiklinowym koszem-kufrem stanęła u drzwi mieszkania Pań Pojawskich (mieszkała z siostrą). W takich koszach onegdaj nosiło się w dwie osoby bieliznę pościelową do magła. Nasza przewodnicząca, wyposażona w bukiet osobliwego kwiecia, została upchnięta w koszu, a my – nie bez tremy – zadzwoniłyśmy do drzwi. Otworzyła Pani Teodozja. Wpuściła nas. Wniosłyśmy kosz z zawartością do pokoju i postawiłyśmy przed piecem, którego pierwsze drzwiczki były otwarte, bo węgiel dopiero się rozpałał.

Pani Karolina zażądała wyjaśnień. Powiedziałyśmy, że kosz to opakowanie do zwrotu, że na prezent zgodnie z Jej życzeniem nie wydałyśmy grosza, mówiłyśmy mało składnie, my stremowane, ona niepewna, co mogłyśmy wymyślić... I nagle z kosza głos przewodniczącej: „Dziewczyny, wypuście mnie, bo tu jest strasznie gorąco i ja się upiekę!”.

Prezenterem był bukiet kwiatów zrobionych z drucików, kolorowego papieru i naszych fotografii. Jak były jakieś psiapsioły, to dwa kwiaty na jednej łodydze. Prezent był. Nie kosztował nic w złotówkach, tylko w pracy i pomysłowości. Wiele lat później Pani Pojawska przyznała się, że bardzo się bała, co zrobimy z jej ultimatum. Nam przykrości robić nie chciała, a zmienić słowa nie mogła. Ale nawet wtedy nie powiedziała, co było przyczyną tak osobliwego Jej życzenia.

Była niezwykle troskliwa: pilnowała naszych stopni, czasem bardziej niż my same, dbała o to, czy dostatecznie ciepło się ubieramy, czy jako przyszłe żony i mamy troszczymy się dostatecznie o siebie. Chciała, byśmy były kulturalnymi ludźmi. Damami, które w każdej sytuacji będą umiały się znaleźć. I uczyła tego tylko i aż swoją postawą. To była Jej stała metoda. Umiała spokojnie i prosto powiedzieć nawet przykre rzeczy, ale mimo wszystko czuło się, że za tymi słowami jest Jej nieustanna życzliwość i troska o nas teraz i naszą przyszłość.

Była osobą wierzącą. Praktykującą. W tamtych osobliwych czasach zapewne nie ułatwiało to Jej życia. Jednak ten temat nie istniał w Jej wypowiedziach, nawet prywatnych. Że Jej życiowa sytuacja – nauczycielki – była z tego powodu niezwykle trudna, mogę przypuszczać z jednego tylko epizodu: wycieczki na Św. Katarzynę i trudnych do sprecyzowania kłopotów, jakie potem miała.

Pisząc te wspomnienia, zdałam sobie sprawę, jak niewiele o Niej, o Nich (Karolinie i Teodozji Pojawskich) wiem. Zmarła stanowczo zbyt wcześnie. Ale wiem, że moja Wychowawczyni z liceum była i jest w naszej stale o Niej żywej pamięci CZŁOWIEKIEM, bez którego wszystkie byłybyśmy inne i na pewno uboższe.

Barbara Kraj-Kozubska (Kielce)

Pani profesor „Karolina”

Była dobrym, życzliwym człowiekiem. Nigdy nie słyszałam jej podniesionego głosu. Często się uśmiechała.

Zwykle w relacjach nauczyciel – uczeń można odczuwać pewien rodzaj dystansu, rezerwę. W przypadku pani profesor Pojawskiej było to ciepło, zrozumienie i odpowiedzialność za nas. Walczyła jak lwica, gdy widziała, że którejś z nas dzieje się krzywda, że ocena wystawiona przez innego nauczyciela jest krzywdząca. Widząc nasze „upadki” (kto ich w tym wieku nie miał), mobilizowała do poprawy. Dzięki niej czułyśmy się bezpiecznie i wiedziałyśmy, że możemy jej zaufać, gdy los rzucał kłody pod nasze piętnastoletnie nogi. Starła się pomóc, pocieszyć, a także zaradzić. Robiła to w sposób dyskretny i bardzo delikatny.

Patrzyłyśmy na nią także, jak na kobietę. Zawsze zadbana, elegancka. Jej elegancja była klasyczna i zawsze adekwatna do sytuacji. Nie narzucała nam swojego zdania co do uczesania, ubioru, ale obserwując ją, instynktownie uczyłyśmy się co wypada, a co nie. Kiedy przyszedł czas mojej praktyki pedagogicznej w szkole, udałam się do pani profesor z prośbą, aby mnie przyjęła. Odpowiedziała z uśmiechem: – „A do kogo miałabyś pójść, jak nie do mnie?”.

Wiedziałam, mimo ogromnej tremy, że ten debiut będę odbywać spokojnie i owocnie. Tak też się stało. Oprócz istotnych wskazówek merytorycznych profesor przekazała mi porady dotyczące spraw pozornie przyziemnych, ale ważnych dla nauczyciela, który chce się godnie prezentować wobec uczniów.

Myślę też, z perspektywy czasu, że jej niewątpliwy autorytet i wiedza wpłynęły na nasz wybory. Pięć z nas postanowiło studiować polonistykę, a kilkanaście zostało nauczycielami szkolnictwa średniego i akademickiego.

Poświęciła swoje życie pracy pedagogicznej i jak każdy człowiek, który kocha to co robi, boleśnie przeżyła rozstanie ze szkołą i uczniami.

Może nie dałyśmy jej tego odczuć, bo porwał nas nurt życia, ale do tej pory jesteśmy jej wdzięczne za te cztery lata, w których nam towarzyszyła.

Kilkanaście nas z „pensji pani Pojawskiej” spotyka się do dziś. Jesteśmy już babciami, starszymi paniami, a na tych spotkaniach znów wracamy do dni, kiedy Karolina była z nami.

Teresa Leszczyńska-Bugajska (Kielce)

Karolina

Zawsze wolałam mówić niż pisać. Pewnie dlatego większość recenzji pod moimi wypracowaniami z języka polskiego podpisanych przez panią Karolinę Pojawską zawierała zdanie: „Tereniu, więcej wody”. Niech to będzie moje usprawiedliwienie, że i tym razem „się nie rozpiszę”, bo musiałabym napisać książkę. 1 września 1960 r. ja i moje koleżanki rozpoczęłyśmy naukę w I Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego, a pani Karolina Pojawska zaczęła w tej szkole nauczanie języka polskiego. Był to wspólny debiut nas uczennic i Karoliny (bo tak Ją nazywałyśmy), jako nauczycielki języka polskiego oraz wychowawczyni kl. VIII c (w historii tego liceum pierwszej klasy żeńskiej).

Przez wszystkie lata nauki, do samej matury, imponowała nam nie tylko swoją wiedzą, pokazywała codziennie, że skromność i elegancja idą w jednej parze, dbała o to, żebyśmy posługiwały się poprawną polszczyzną (niezapomniana uwaga: „nie zaczyna się zdania od więc”). Kontrolowała, czy jesteśmy ciepło ubrane (moje koleżanki z klasy doskonale wiedzą, co „dosłownie” mam na myśli), a tuż przed samą maturą zabrała nas na wycieczkę w celu „odstresowania”. To pewnie dzięki niej, pomimo że od matury minęło pięćdziesiąt pięć lat, w miarę możliwości spotykamy się, wspominamy i dzięki temu odmładzamy się o ileś tam kolejnych lat.

Osobiście dla mnie była ważną postacią. Skończyłam polonistykę, uczyłam w szkole i tak jak Ona szanowałam swoich uczniów i nie tylko. Nauczyłam się szanować każdego człowieka bez względu na pochodzenie społeczne, stan majątkowy, wyznanie, kolor skóry itp.

Za to wszystko dziękuję Pani Profesor.

Jan Strasz (1893-1948)

Stanisław Żak

Kiedy po siedmiu klasach szkoły powszechnej otrzymałem świadectwo (1948), poszedłem zapisać się do klasy VIII w Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Pani sekretarka obejrzawszy moje świadectwo, trochę się skrzywiła, bo w rzeczy samej nie zapowiadałem się na geniusza – miała pewnie poważne wątpliwości, czy może mnie przyjąć na podstawie takiego świadectwa do klasy VIII. Te wątpliwości rozwiązał pan dyrektor Jan Strasz, który tylko kiwnął lekko głową i pani sekretarka wpisała mnie na listę.

Jan Strasz pochodził z Kielecczyny, z powiatu jędrzejowskiego. Urodził się w Przęsławiu, maturę zdał w Kieleckim Gimnazjum Męskim ze srebrnym medalem (1913), następnie rozpoczął studia w Petersburgu, a ukończył je w Krakowie na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego (1921). Powróciwszy po studiach z Krakowa do Kielc, podjął pracę nauczyciela przedmiotów ścisłych w Państwowym Gimnazjum im. Mikołaj Reja (od 1934 roku Państwowe Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego). Był niezwykle aktywny społecznie w Towarzystwie Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych, gromadził wokół siebie uczniów, dyskutował z nimi, nie szczędził dla nich czasu poza lekcjami i szkołą. W czasie II wojny, kiedy Niemcy wkroczywszy do Kielc, rozpoczęli likwidowanie szkolnictwa średniego, dyrektor Jan Strasz, w kooperacji z profesorem matematyki Pawłem Czapłą, organizował komplety tajnego nauczania. Na przełomie 1939/40 roku aresztowano grupę nauczycieli zaangażowanych w tajne nauczanie, wraz z Janem Straszem i Henrykiem Kucem, i osadzono ich w kieleckim więzieniu jako zakładników. Henryka Kuca wywieziono do Oświęcimia, gdzie zginął. Zwolnieni z więzienia Jan Strasz i Paweł Czapła kierowali tajnymi kompletami nauczania w ramach Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego. Ani permanentne zagrożenia „wpadką”, ani więzienie, ani wywózka do obozu koncentracyjnego nie odstraszały Strasza od pracy, bo miał głęboko wpojone poczucie obowiązku i wielkiej troski o młodzież.

W opublikowanym po wojnie niezwykle treściwym artykule *Kieleckie szkolnictwo średnie pod okupacją*¹ pisał: „W trosce serdecznej o dobro młodzieży, w dążeniu do zachowania równowagi ducha i dobra moralnego młodzieży nauczycielstwo szkół kieleckich samorzutnie, bez jakiegokolwiek nakazu z góry, utworzyło grupy specjalistów, które już w listopadzie i grudniu 1939 r. przystąpiły do nauczania na własną rękę zespołów uczniowskich”.

1 „Pamiętnik Kielecki”, Kielce 1947, s.282–288.

Potwierdził tę opinię i postawę profesora Jana Strasza Gustaw Herling-Grudziński w liście do córki Dyrektora, p. Danuty, pisząc: „Pamiętam doskonale Pani Ojca, był znakomitym nauczycielem, sprawiedliwym i zakochanym w swoim nauczycielskim powołaniu. Ogromnie Go lubiłem i równocześnie przed Nim drżałem jako zupełny, nieuleczalny chyba antytalent w dziedzinie fizyki”.

W lutym 1945 r. Jan Strasz został oficjalnie powołany na stanowisko dyrektora I Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach; budynek szkolny, w którym podczas okupacji niemieckiej mieścił się szpital, przygotował do prowadzenia zajęć dydaktycznych. Po wojnie, przy instalowaniu nowego systemu i nowej władzy nie miały znaczenia zasługi, jakimi legitymował się Dyrektor Jan Strasz. Jesienią 1947 roku zaproponowano Mu wstąpienie do partii (PPR), aby mógł dalej pełnić funkcję dyrektora. Zdecydowanie odrzucił propozycję, bo wstąpiwszy do partii, nie mógłby spojrzeć w oczy swoim wychowankom, którym powtarzał, że trzeba być zawsze w zgodzie z własnym sumieniem. Jakże mógłby teraz dla stanowiska zdradzić i siebie, i młodzież? Zmuszono Go do rezygnacji.

Po rozpoczęciu roku szkolnego 1947/8 widziałem Dyrektora Strasza jeszcze kilka razy, jak szedł z dziennikiem pod pachą na lekcje; widziałem też, jak dorośli już licealiści stawali w pozycji zasadniczej, kiedy przechodził. Rozeszła się też po szkole szeptana wiadomość, że Dyrektor odchodzi.

Odszedł nie tylko ze stanowiska, ale także z tego świata, 10 września 1948 roku. Uczestniczyłem w pogrzebie, dumny z niebieskiej tarczy na rękawie i znaczka na czapce. Trumnę wystawiono na szkolnych stolikach przed wejściem do gmachu szkoły (dziś wejście do Biblioteki Pedagogicznej), obecni byli nauczyciele i uczniowie, a mnie, stojącemu wśród kolegów z klasy, ogarnęło jakieś dziwne wzruszenie, odczułem wewnętrzny szloch, przecież tak niedawno pytał, skąd jesteś – i to kiwnięcie do sekretarki głową. Ktoś przemawiał, żegnając profesora i dyrektora, a nade wszystko wielkiego przyjaciela i wychowawcę młodzieży.

Maria Rychter - nauczycielka

Joanna Chalońska

Taki napis wyryto na płycie rodzinnego grobu znajdującego się na cmentarzu Starym w Kielcach. W grobie tym spoczywają również jej rodzice: Stanisław Rychter – inspektor szkolny, Jadwiga Rychter – nauczycielka oraz siostra Halina, również nauczycielka¹.

Patrząc na ten skromny, ale wiele znaczący nagrobny napis, utwierdzam się w przekonaniu, że długoletnia, niezwykle ceniona Pani Profesor Maria Rychter, niekwestionowany autorytet dla społeczności uczniów i nauczycieli II Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Śniadeckiego w Kielcach, także i teraz nie życzyłaby sobie pompatycznej laurki ani suchego wyliczania jej pedagogicznych sukcesów.

Gdy zostałam poproszona (jako jej uczennica, potem młodsza koleżanka – polonistka, a także zastępca dyrektora liceum, w którym Pani Rychter uczyła do przejścia na emeryturę w 1975 r. o napisanie wspomnienia, powiedziałam po prostu: tak. Pani Maria była doskonałą nauczycielką języka polskiego, imponującą nie tylko prawdziwą erudycją, ale i umiejętnością przekazywania wiedzy uczniom i rozbudzania ich humanistycznych pasji.

Ci, którzy mieli szczęście trafić do klas, w których uczyła Pani Profesor, byli prawdziwie dumni, a nawet zaszczyceni. Sama pamiętam, jaką rzadkością były oceny bardzo dobre z języka polskiego, ale też jaką miały rangę. Absolwenci wybierający studia humanistyczne, nieraz porównywali poziom wykładów z historii i literatury w szkole i na uczelniach, podkreślając prawdziwą erudycję swojej licealnej polonistki.

Ogromny szacunek, jakim obdarowaliśmy naszą Panią Profesor, nie łączył się jednak z paraliżującym strachem. Wiadomo było, że „Marysieńka” (takiego sympatycznego przezwiska niektóre roczniki używały) jest bardzo wymagająca, ale sprawiedliwa.

Uczennice wybierające się na polonistykę były zapraszane do mieszkania Pani Rychter na drugim piętrze kamienicy przy ulicy Hipotecznej 1, by wypożyczyć książki z niezwykle bogatej rodzinnej biblioteki. Prawdziwym rytuałem i przyjemnością stawały się później towarzyskie spotkania po zaliczeniach kolejnych semestrów na Uniwersytecie Warszawskim (uczelni, która Pani Maria i jej siostra Halina ukończyły przed wojną), świadczące o serdecznym zainteresowaniu losem byłych uczennic, a później młodszych adeptek nauczycielskiego zawodu.

Sama tego doświadczyłam w roku 1965, rozpoczynając pracę w „swoim” liceum, gdy Pani Maria, podkreślając, że teraz to tylko koleżeńska usługa, użyczyła mi swoich autorskich rozkładów materiału, podpowiadała w pierwszym roku pracy,

1 Mgr Maria Rychter, ur. 1916 ,zm. 1990 r. Córka Stanisława Rychtera, inspektora szkolnego, i Jadwigi Rychter (nauczycielki). Ukończyła Wydział Filologii Polskiej na Uniwersytecie Warszawskim w 1939 r. Praca zawodowa: 1945–1950 r. Liceum bł. Kingi, 1950–1975 II Liceum im. Jana Śniadeckiego w Kielcach. Odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

jak rozwiązywać różne pedagogiczne problemy. Stała się dla mnie prawdziwym mentorem.

Przed wszystkim nauczyła mnie tego, że uczniów trzeba traktować jak intelektualnych partnerów, którym należy się głęboka, ciągle uaktualniana wiedza polonistyczna; że można od nich wiele wymagać, jeśli – równocześnie – okaże się im nasz szacunek i zrozumienie.

Z jeszcze innej perspektywy mogłam ocenić pracę Pani Marii, pełniąc funkcję zastępcy dyrektora Liceum im. Jana Śniadeckiego w Kielcach w latach 1972–1980), oglądając jej pokazowe lekcje, przewodnicząc komisji maturalnej w czasie ustnych egzaminów dojrzałości z języka polskiego. Z podziwem słuchałam wielu znakomitych odpowiedzi uczniów, dostrzegając wyróżniający się poziom wszystkich jej abiturientów.

Byłam zafascynowana tym, że Pani Profesor Rychter, stosując – mniej preferowane w nowoczesnej dydaktyce – metody podające, potrafiła uzyskiwać doskonałe wyniki w pracy z młodzieżą.

Aktywizowała uczniów poprzez stawianie im wysokich wymagań, mobilizując do samodzielnych lektur i pogłębiania szkolnej wiedzy. Myślę, że po prostu nie można było zawieść zaufania tego typu nauczyciela.

Pani Maria cieszyła się także sympatią i prawdziwym szacunkiem koleżanek i kolegów z pokoju nauczycielskiego. I tu właśnie trzeba szczególnie podkreślić słowo szacunek. Zasłużyła sobie na to wielką sumiennością w wykonywaniu obowiązków (na które młodsze koleżanki nieraz narzekały), mądrymi decyzjami pedagogicznymi, umiejętnością zachowania równowagi między serdecznością a dystansem wobec wychowanków.

Potrafiła również być „koleżanką z nauczycielskiej palarni”, ale, gdy to było potrzebne, wymagać dystansu wobec sfery swego życia prywatnego. Gdy podczas posiedzenia rady pedagogicznej jeden z dyrektorów używał jej nazwiska w wersji „pani Rychterówna”, odparowała: „Dla mnie Rychtera zabrakło. Jestem Rychterówna”.

W 1975 r., po trzydziestu latach pracy (rozpoczęła pracę 15 stycznia 1945 roku), nie doczekawszy 60 roku życia, pani profesor Rychter została odesłana na emeryturę, chociaż jej wiedza i talent pedagogiczny mogły być jeszcze wykorzystywane. Później już nigdy (mimo propozycji doraźnych zastępstw) nie chciała wrócić do szkoły.

Byli uczniowie i młodszy koledzy-nauczyciele nadal ją odwiedzali. Gdy po śmierci starszej siostry ciężko zachorowała, to właśnie jej była wychowanka Marta Wojciechowska, lekarz neurolog, zajęła się nią z niezwykłą serdecznością, zapewniając opiekę w szpitalu we Włoszczowie i we własnym domu w Krasocinie.

Pani Profesor Maria Rychter zmarła 21 września 1990 r, przeżywszy 74 lata. Z prawdziwym wzruszeniem, w imieniu uczniów i nauczycieli, miałam zaszczyt przemawiać nad grobem, a jej była uczennica redaktor Danuta Kumor-Miernowska w „Echu Dnia” poświęciła zmarłej piękne wspomnienie, zatytułowane „Marysieńka”.

Na grobie nauczycielskiej rodziny Rychterów zawsze pali się wiele zniczy. A na płycie grobowej jest tylko skromny, ale i dumny napis: „Maria Rychter – nauczycielka”.

Wspomnienie prof. Jerzego Rutkowskiego

Elżbieta Górecka-Stec (Kielce)

Do II Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Śniadeckiego uczęszczałam w latach szkolnych 1955/56 do 1958/59. Nasza klasa (łacińska) miała z początku pecha do nauczycieli języka polskiego. W klasie ósmej zaczęła uczyć nas p. Gardzielewska, lecz wkrótce odeszła na urlop wychowawczy. Zastępowały ją panie – Irena Zielińska, następnie Maria Rychterówna. Zastępstwa trwały jeszcze jakiś czas w klasie dziewiątej. Sprawa unormowała się, gdy rozpoczął pracę w II LO pan Jerzy Rutkowski. Przejął nauczanie języka polskiego w naszej klasie i prowadził nas aż do matury w 1959 r.

Była to klasa żeńska (chłopców zaczęto przyjmować do tej szkoły dopiero od 1956 r.), więc każdy nowy nauczyciel – mężczyzna, był uważnie oglądany i analizowany przez uczennice pod kątem urody, kultury osobistej i wiedzy.

Pan Rutkowski był średniego wzrostu, szczupły, miał ciemne kręjące się włosy i niebieskie oczy. Chyba nie przekroczył jeszcze trzydziestu lat. Podobał się większości dziewczyn, a nawet niektóre podkochiwały się w nim. On jednak zachowywał odpowiedni dystans.

Prowadząc wykład, zwykle podpierał się prawym łokciem o blat katedry i dłoń wicherzył sobie włosy, a lewą ręką przewracał kartki notatek. Siedząca blisko katedry koleżanka Zosia szeptała nieraz jakieś słowa zachwytu, licząc na to, że pan profesor usłyszy. Jednak szepty te nic nie dawały, był wymagający. Zdarzało się też czasem, że potrafił rzucić mało eleganckim epitetem w stronę uczennicy, gdy rozmawiała podczas lekcji lub była nieprzygotowana.

Lubiłam lekcje języka polskiego, odpowiadał mi styl wykładów p. Rutkowskiego i wymagań od uczniów. Najważniejsza była znajomość treści lektur. Na ich podstawie tłumaczył różne zjawiska społeczne, historyczne i polityczne. Gdy nadchodziła lekcja omawiania zapowiedzianej lektury, podawał tematy i oczekiwał od nas aktywności, wynikającej ze znajomości tekstów. W ten sposób uczył nas analizować treść każdego utworu i łączyć ją z tendencjami epoki oraz z przesłaniami autora. Nieprzeczytanie zadanej lektury skutkowało stopniem niedostatecznym. Dlatego nigdy nie ośmieliłam się przyjść na lekcję p. Rutkowskiego, nie znając treści zadanej lektury. Niektóre książki czytałam podczas wakacji, zdając sobie sprawę, że w roku szkolnym nie znajdę na nie czasu. Tak było z powieścią „Chłopi” Reymonta, „Lalką” Prusa i innymi. Lektury nigdy nie były dla mnie udręką, czytałam je z zainteresowaniem.

Idąc na egzamin maturalny, czułam się dobrze przygotowana z języka polskiego. W 1959 r. przypadała 150. rocznica urodzin Juliusza Słowackiego, więc ogłoszono rok tego wybitnego poety. Na maturze pisałam temat – „Romantyczny charakter twórczości Juliusza Słowackiego”. Otrzymałam ocenę bardzo dobrą, byłam zwolniona z egzaminu ustnego. Umiejętność poradzenia sobie z tym tematem zdobyłam na lekcjach pana Jerzego Rutkowskiego.

Gdy po kilku latach podjęłam pracę w bibliotekach publicznych Kielc, w powiatowej, następnie w wojewódzkiej, miałam okazję spotykać czasem prof. J. Rutkowskiego na różnych imprezach literackich, na których bywał także prelegentem. Wiedziałam, że po obronie pracy doktorskiej został wykładowcą w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Kielcach. Pełnił tam funkcję prodziekana Wydziału Humanistycznego. Działał również w Pracowni Metodyki Nauczania Języka Polskiego.

Przeglądając wydawnictwa dotyczące naszego regionu, spotykałam Jego artykuły na tematy literackie i recenzje w „Studiach Kieleckich”, „Zeszytach Kieleckich” i w publikacjach kieleckiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej. Tworzył również literaturę piękną, głównie opowiadania.

Lekcje z prof. Rutkowskim zawsze wspominam z sentymentem, chociaż minęło już tyle lat. Wiadomość o Jego przedwczesnej śmierci była dla mnie bardzo przykra.

Henryka Bobińska (Kielce)

Wspominam mojego profesora Jerzego Rutkowskiego

Pan Jerzy Rutkowski był moim polonistą w II Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Śniadeckiego w Kielcach. Zaczął mnie uczyć w 1956 r., w klasie IX i doprowadził do matury w 1959 r. Kiedy się pojawił, 40 dziewcząt patrzyło na niego z dużym zainteresowaniem, a także z nadzieją na ciekawsze niż dotąd lekcje języka polskiego. Był młody, przystojny i tajemniczy. Czuliśmy przed nim respekt, więc żadna z nas nie ośmieliłaby się przyjść na lekcję nie przeczytawszy zaplanowanej na ten dzień lektury.

Od razu zrobiło się ciekawiej, bo metoda prowadzenia zajęć zmieniła się radykalnie. Teraz profesor zadawał pytania, którymi prowokował nas do dyskusji. Z ogniem w oczach spierałyśmy się, do upadłego broniąc swoich racji. I tym oto sposobem, bez „zakuwania”, przyswajałyśmy sobie polonistyczną wiedzę.

Pan Rutkowski odpytywał nas przy tablicy, dzięki czemu oswajałam się z tremą. Oceniał surowo, ale bardzo sprawiedliwie. Dbał o to, aby nasze zeszyty zawierały komplet notatek i wyglądały estetycznie. Co dwa tygodnie zadawał wypracowania. Na ogół ich tematy były przekrojowe, a więc zajmowały sporo stron i wszystkie te prace Profesor dokładnie sprawdzał. Jeśli nie mógł tego zrobić od razu, to poprawiał je, gdy oddawałyśmy do kontroli zapisane już zeszyty.

Podziwiałam jego pracowitość. Później, już jako polonistka, próbowałam go w tym naśladować, ale ogrom pozaszkolnych obowiązków szybko mnie z tego wyleczył.

W ciągu trzech lat nauki pan Rutkowski regularnie zadawał nam pamięciowe opanowanie wierszy z różnych epok literackich. Klasa z mozołem uczyła się „Koncertu Jankiela”, „Grobu Agamemnona”, „Rozłączenia” czy „Bema pamięci żałobnego rapsodu”. Łatwiej wchodziły nam do głowy utwory Leopolda Staffa, Juliana Tuwima czy Władysława Broniewskiego. Do dziś je doskonale pamiętam, czym zadziwiam moje dorastające wnuki.

Wzorując się na Profesorze, ja także zmuszałam moich uczniów do „wkuwania” na pamięć tych, a także wielu innych tekstów poetyckich. Byłam i nadal jestem wdzięczna swojemu nauczycielowi za ten, jakże opłaczalny przymus. Mam też przeświadczenie, że i moi wychowankowie w duchu dziękują za to swojej pani od polskiego.

W kształtowaniu osobowości i intelektu młodzieży za jedną z ważniejszych dziedzin uważa się teatr. W latach 50. kielecką sceną zajmowali się państwo Byrscy. Profesor bardzo wysoko oceniał ich zarówno reżyserską, jak i aktorską pracę, więc nasza częsta obecność w teatrze była dla niego oczywista. Obejrzałyśmy wszystkie spektakle. Dogłębnie przeanalizowałyśmy ich wymowę oraz walory artystyczne (ma się rozumieć pod kierunkiem naszego nauczyciela). W domu trzeba było napisać recenzję.

Trudno się dziwić, że i w tej dziedzinie działalności naśladowałam swego Profesora. Sprawia mi dużą przyjemność, gdy od przypadkowo spotkanego wychowanka słyszę: „Dziękuję, że wyrobiła pani we mnie nawyk chodzenia do teatru”.

Atrakcyjność lekcji, rzetelność i zaangażowanie pana Rutkowskiego oraz jego konsekwencja w kontrolowaniu zadań domowych dały widoczne owoce. Maturę z „polaka” większość z nas zdała koncertowo. Mój egzamin na filologię polską wypadł pomyślnie. Widok swojego nazwiska na liście przyjętych na Uniwersytet Jagielloński to duża satysfakcja!

Z profesorem Rutkowskim spotkałam się dopiero w 1969 r., gdy przyszło mi zdać egzamin nauczycielski, obowiązujący wówczas po trzech latach pracy. Byłam wzruszona, kiedy jako członek komisji egzaminacyjnej pochwalił mnie za sposób przeprowadzenia lekcji. Ten miły gest znacznie obniżył poziom mojego stresu.

Po latach ponownie spotkaliśmy się w szkole, gdy Profesor przyprowadził do mnie grupę studentów na pokazową lekcję. Po jej zakończeniu padły z jego ust słowa: „Proszę państwa, muszę się pochwalić – prowadząca pani to moja uczennica”. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo zapamiętałam go jako osobę niezwykle wstrzemięźliwą w wygłaszaniu pochwał.

Jeszcze przez kilka lat miałam przyjemność gościć w „Śniadku” bohatera moich wspomnień. Zawsze surowo, ale i przychylnie oceniał prowadzone przez studentów lekcje. Zawsze też liczył się z moją opinią, a nawet często prosił, bym dzieliła się z jego podopiecznymi swoim doświadczeniem.

Zdarzało mi się nieraz wracać ze szkoły wspólnie z Profesorem i mogłam prowadzić z nim swobodną rozmowę na przeróżne tematy. Nareszcie zniknął dystans, a pojawiło się partnerstwo. Rozmowa o polityce w latach 80. była dość ryzykowna, a jednak bez wahania podjęliśmy związane z nią zagadnienia. Mój Profesor mówił bardzo krytycznie o partyjnych dygnitarzach. Zarzucał im nepotyzm, cynizm, błędną ekonomię, lekceważenie narodu itd. Wiedziałam, że jest to dla niego, jako dawnego idealisty, bardzo bolesna konstatacja.

Przywołane przeze mnie wspomnienie o Profesorze sugeruje mi przekonanie, że mój „czas wielkiej rzeźby” miał swojego mistrza w osobie polonisty, doktora nauk humanistycznych i metodyka Uniwersytetu Jana Kochanowskiego – Jerzego Rutkowskiego.